

MARG | NES

STYCZEŃ 2017

SZKOŁA



UCZNIOWIE



PRASA

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
NAKŁAD WŁASNY



Okiem redaktora

Piotr Mazurek

- Ś**więta, święta i po świętach. Powrót do szkoły może być dla niektórych ciężki, ale nie dla nas.

Scala redakcja rusza pełną parą wraz z nowymi pomysłami na nasz „Margines” w 2017 roku, ale więcej szczegółów już wkrótce. Nowy rok zaczęliśmy od rozdania Złotych Globów 8 stycznia, a nagrodzeni zostali między innymi Ryan Gosling i Meryl Streep. Następnym wydarzeniem, które może was zaciekawić, jest koncert zespołu Green Day 21 stycznia na Tauron Arenie. Warto też wspomnieć o Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy, która już po raz 25 zbierała pieniądze dla tych, którzy potrzebują wsparcia. Finał WOŚP-u odbył się 15 stycznia. A co czeka na was w „Marginesie”? Na początek oczywiście nie może zabraknąć informacji o tym, co dzieje się w naszej szkolnej społeczności, w tym najważniejsza wiadomość dla nas – relacja z gali rozdania nagród w Ogólnopolskim Rankingu Techników, w którym zajęliśmy drugie miejsce, a w rankingu maturalnym zostaliśmy nie po raz pierwszy zwycięzcami. Następnie rozpocznie się seria recenzji, którą otworzy bestseller pt. „Millenium”, a skończy „Siewca Wiatru” autorstwa Mai Lidii Kossakowskiej. Jeśli miałeś sytuację, że pomyślałeś o czymś w innym języku niż polski, to zajrzyj do artykułu Michała Grabowskiego, który rozwinął temat relatywizmu językowego. Na koniec zostawiliśmy wam kolejne recenzje. Tym razem pod lupę redaktorów trafiła gra przygodowa „Deponia” oraz nowy film ze świata Gwiezdných Wojen, „Łotr 1”.

28 stycznia rozpoczynamy ferie zimowe, więc w imieniu całej naszej redakcji życzę wam wesołego i bezpiecznego odpoczynku i tego, abyście po tych dwóch tygodniach wrócili do szkoły z podwójną dawką energii.

Winnetou

Maciej Łapczyński

*Opowieść o niesamowitej przyjaźni
z Dzikiego Zachodu.*

Przygodowa powieść pt. „Winnetou”, niemieckiego pisarza Karola Maya. Została wydana w 1893 roku. Jest to najpopularniejsze dzieło tego autora, uważane za klasykę literatury dziecięco-młodzieżowej. Opowiada ona o losach tytułowego bohatera, który jest Indianinem ze szczepu Apaczów Mescalero i jego białego brata o przydomku Old Shatterhand. Okoliczności, w jakich zawiązali braterstwo krwi, były równie fascynujące, jak ich osobowości. Drogi niemieckiego westmana i czerwonoskórego połączyły się dzięki szlachetności obu głównych bohaterów. Przeżywają oni mnóstwo przygód, w które czytelnik zagłębia się z zapartym tchem. Powieść wciąga go stopniowo, kartka po kartce, rozdział za rozdziałem ani na moment nie zwalniając przez całe trzy tomy. Bohaterowie również nie mają ani chwili, by odpocząć, spotykając przygodę za przygodą, a w te Dzikie Zachód obfituje aż nadto. Polecam „Winnetou” każdemu, kto gustuje w westernach, a nawet czytelnikom, którzy stykają się z nimi po raz pierwszy. Jest to barwna, ekscytująca powieść w sam raz na długie zimowe wieczory.

[illegible]

Najlepsi w Polsce Kamil Przybyło

Wtorek 10 stycznia dla 9 osób z naszej szkoły zaczął się bardzo wcześnie. O 6 rano odjeżdżała delegacja w stronę Warszawy. Składała się z: Pana Dyrektora Antoniego Borgosza, Pań Agnieszki Osuch, Katarzyny Choroszy oraz Ewy Artymiuk-Kocoł. Reprezentację uczniów stanowili: Bartek Czarnota, Paulina Pasternak, Sebastian Tatko i ja, Kamil Przybyło, jako fotograf. Prowadził niezastąpiony kierowca: ksiądz Andrzej Gołębiowski.

Tego roku naszym celem był Warszawski Uniwersytet Medyczny. Po około 6 godzinach podróży byliśmy na miejscu.

Tam mieliśmy chwilę czasu na zapoznanie się z ofertą uczelni, jak również przygotowane były różne atrakcje dla osób, które, jak my, przyjechały na rozdanie nagród. Między innymi mogliśmy się dowiedzieć czegoś o zdrowym odżywianiu; sprawdzić, jak dużo cukru jest w rzeczach, które codziennie spożywamy; poszerzyć wiedzę na temat własnego ciała, a nawet spróbować zszyc prawdziwe ciało nicią chirurgiczną. Oczywiście nauka nie odbywała się na ludziach, lecz na świńskiej nóżce. Oprócz tego mogliśmy się uraczyć gorącą kawą lub herbatą i przekąskami.

Około godziny 13 zaczęła się główna uroczystość. Gości przywitał prof. Mirosław Wielgoś, rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. W pierwszej dziesiątce techników znalazły się aż 4 z województwa małopolskiego: Technikum Chemiczne i Ochrony Środowiska nr 3 w Krakowie, Technikum Budowlane nr 1 w Krakowie, Technikum nr 7 w ZSE-M w Nowym Sączu oraz nasze Technikum Łączności nr 14. Żadne z województw nie miało tak licznej reprezentacji w czołówce. Pierwsze miejsce zajęło Technikum Elektroniczne w ZSE im. WP w Bydgoszczy. Druga lokata to my, a trzecia to Technikum z Nowego Sącza. Pierwsze miejsce zajęliśmy w rankingu maturalnym. Następnie czekał na nas posiłek oraz czas na rozmowy. Reprezentacje niektórych szkół wyróżniały się od innych swoimi strojami - na przykład zielone mundury Technikum Leśnego czy bordowe mundurki ze zwycięskiego XIII LO w Szczecinie.

Po posiłku wyruszyliśmy w drogę do domu. Uważam, że mimo srebra w rankingu ogólnym możemy być z siebie dumni. Najtrudniej jest utrzymać tak wysoką pozycję tak długo jak my. Świadczy to dobrze o nas i naszych nauczycielach. Oby tak dalej.



Zbrodnia dziennikarskim okiem Paweł Hadrian

Nigdy nie zadzieraj z Lisbeth Salander. Jej nastawienie do świata jest takie, że jeśli ktoś grozi jej pistoletem, ona załatwi sobie większy.

Kiedy ktoś wspomina o współczesnej literaturze kryminalnej, większość z nas od razu pomyśli o dziełach autorów z półwyspu skandynawskiego. Cóż, nic w tym dziwnego, gdyż skandynawskie kryminały stały się niemalże osobnym gatunkiem, gdzie przestępstwa i śledztwa służą często ukazaniu społecznych problemów bądź piętnowaniu ich. Tej definicji odpowiada także bestsellerowa trylogia „Millenium”, autorstwa szwedzkiego dziennikarza Stiega Larssona. Jej głównym bohaterem jest, skądinąd też żurnalista, Mikael Blomkvist, który, jak dowiemy się po zapoznaniu z biografią autora, dzieli z nim nie tylko fach.

W serii mamy więc do czynienia ze śledztwami dziennikarskimi, które moim zdaniem, są znacznie ciekawsze od policyjnych, a przynajmniej gdy o nich czytamy. Drugą postacią, o której wspomnieć trzeba, gdyż również należy się jej miano protagonisty, jest Lisbeth Salander. Ciężko powiedzieć o niej coś więcej, tak aby nie zdradzić nic z fabuły. Jest bardzo enigmatyczna i z pewnością nie można uznać jej za schematycznego bohatera. Według mnie, warto przeczytać tę serię przez wzgląd na Lisbeth, bo to postać, której się po prostu nie zapomina.

Narracja i rozwój akcji jest pierwszorzędny, stopniowo budowane napięcie sprawia, że ostatnie kilkadziesiąt stron każdej części czytamy z łomotem serca.

Pierwsza część, zatytułowana „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet” to w zasadzie preludium całości. Zapoznaje nas ona z bohaterami i stawia podwaliny pod akcję dwóch następnych części, kolejno „Dziewczyna, która igrała z ogniem” oraz „Zamek z piasku, który runął”, które to traktują o mrokach przeszłości Salander. Cała seria ma dość ciężki klimat, który chwilami przytłacza nas piętnowanym wielokrotnie okrucieństwem. Wszystko to okraszone umiejscowieniem akcji w malowniczej Szwecji, daje nam niezapomniane przeżycia.

Po wydaniu, pierwsza część, od razu stała się bestsellerem, zarówno w Szwecji, jak i na świecie. Następne podtrzymały ten trend, przez co Larsson jest jednym z najlepiej sprzedających się autorów kryminałów. Niestety, jest to sukces post mortem, gdyż autor zmarł na atak serca w 2004 roku, nie doczekawszy wydania żadnej z książek.

Filmowa adaptacja trylogii nie wybiła się w naszym kraju, mimo iż szwedzkie filmy nie są złe i wiernie przenoszą treść książek na kinowy ekran. Dużo bardziej od szwedzkiej trylogii filmowej znany jest u nas film pt. „Dziewczyna z tatuażem”, czyli hollywoodzka adaptacja pierwszej części cyklu.

Jest to seria dla wszystkich, lubujących się w literaturze kryminalnej, ale także dla pasjonatów książek, które klimatem i stopniowo rozwijającą się akcją trzymają w napięciu aż do ostatnich stron. Jeżeli potrzeba wam czegoś do czytania na ferie, to z pewnością „Millenium” będzie świetnym wyborem na zimowe dni i wieczory.



ZSŁ News

Krzysztof Głowacki

Styczeń... jesteśmy już w połowie drogi do ukończenia obecnego roku szkolnego, kto by pomyślał, że tak szybko upłynie nam czas na nauce? :) A co słychać w naszej szkole?

2 stycznia na pewno słychać było na szkolnym korytarzu rozmaite dźwięki muzyczne, na pierwszym piętrze, został zorganizowany Sylwester z „Łącznością”! To chyba pierwsze takie wydarzenie w dziejach szkoły, przyciągnęło masy społeczności szkolnej, która przyszła albo tańczyć i bawić się razem z innymi uczniami oraz Panem Dyrektorem Naczelnym lub podziwiać wszelakie wygibasy szkolnych tancerzy, nie obyło się bez tradycyjnego odliczania sekund do Nowego Roku oraz szampana! To wydarzenie, na pewno zapisze się w historii szkoły bardzo pozytywnie i liczymy na coroczną kontynuację.

Styczeń to także duża ilość konkursów, 11 stycznia, odbędzie się Olimpiada Wiedzy Ekologicznej, temat, zważając na ostatnie zawirowania smogowe, na pewno jest na topie. Kangur matematyczny - mimo iż odbędzie się dopiero w marcu, to zapisy na ten konkurs są przyjmowane tylko do 23 stycznia, więc jeśli jesteście chciecie wziąć w nim udział, nie zwlekajcie z zapisem u waszych matematycznych opiekunów!

Dla fanów szachów także coś się znajdzie, Pan Paweł Najman organizuje turnieje szachowe, IV oraz V w tym roku, miały już miejsce, a ich wyniki możemy zobaczyć na szkolnej stronie internetowej. Kolejne odbędą się 16 oraz 23 stycznia o godzinie 15.00 w sali 112.

Pozytywnym niuansiem jest fakt, że najbliższy czwartek, tj. 12 stycznia jest wolnym od zajęć, a już 27 stycznia możemy zacząć świętować 2 tygodnie odpoczynku od szkoły, gdyż wtedy zaczynają się ferie zimowe w naszym rejonie!

Spółeczeństwo przyszłości według George’a Lucasa

Michał Grabowski

„Pracuj ciężko, zwiększaj produkcję, zapobiegaj wypadkom – i bądź szczęśliwy”. Jak radzi sobie film George’a Lucasa o tytule „THX 1138” z roku 1971 na tle filmów o podobnej tematyce?

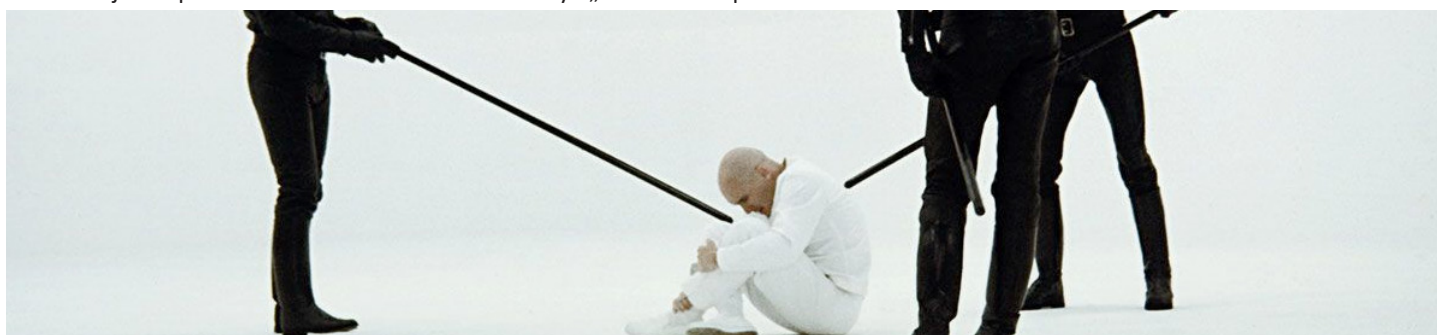
Reżyser jednej z najlepiej sprzedających się serii filmów – George Lucas – miał kiedyś swoje początki. Zanim powstały jakiekolwiek filmy o gwiazdnych wojnach, pracował on nad utopią negatywną, której pierwowzorem był krótkometrażowy film „Elektroniczny labirynt THX 1138 4EB” powstały w roku 1967, gdy Lucas był jeszcze studentem. Cztery lata później światło dzienne ujrzało pełnometrażowe dzieło Lucasa – czyli „THX 1138”.

George Lucas musiał się być głęboko interesować antyutopiami science-fiction, zanim zabrał się za „Gwiezdne Wojny”, skoro ta koncepcja siedziała w nim jeszcze przez te kilka lat. Jak wiemy, antyutopia zaczęła się rozwijać w dużym stopniu dopiero w XX wieku – takie utwory jak „Seksmisja” Juliusza Machulskiego czy „Matrix” Wachowskich długo będą odbijać się szerokim echem w świecie. Czy film George’a Lucasa zasługuje na większą uwagę?

Można wymieniać dziesiątki, setki, a być może nawet i tysiące filmów, które opierają się na pewnym schemacie wprowadzającym widza w fabułę i przedstawiającym bohaterów i ich charakter, które będą towarzyszyć nam przez resztę filmu. W „THX 1138” znajdziemy się w wielu niepewnych i dziwnych sytuacjach, gdy nie będziemy tak naprawdę wiedzieli, o co chodzi. Taki był też zamysł reżysera – wprowadzić widza w natłok nowomowy i przesyt pseudonaukowego bełkotu, jakim traktowani są mieszkańcy świata, w którym żyje THX. „Wydaje się mieć 818. 4814. Unikaj 714 i 2336. 3334, dobrze. Skoncentruj się na obszarze trój-14”. Imiona (a może nazwy?) bohaterów są nam znane, aczkolwiek są to imiona nieludzkie – SEN, LUH, PTO, DWY. Pozwala to na wprowadzenie pewnego poczucia absurdu czy bezsensu. Ale czy tak czasami nie jest w życiu? Człowiek żyje z dnia na dzień i nierzadko przychodzi mu do głowy myśl, iż tak naprawdę wszystko, co jest dookoła, okazuje się całkowitym bezsenssem. Także w tym filmie – śmierć czy starania ludzi wydają nam się być niedorzeczne, bo ostatecznie ludzie jako jednostki nic nie osiągają i z czasem się o nich zapomina. George Lucas stosuje tutaj zabieg, który daje nam poczucie, że wszystko w świecie bohaterów jest niezrozumiałe, chociaż ludzie tam żyjący sprawnie udają, że wszystko rozumieją.

W porównaniu do innych filmów, w których przedstawiona jest koncepcja państwa totalitarnego, oglądając „THX 1138”, nie czuje się tego przytłoczenia, zduszenia przez wszechobecnych policjantów i kamery dookoła. Nie czuć atmosfery strachu i nadchodzącej nieuchronnej zagłady w związku z brakiem indywidualizmu u każdego człowieka i ograniczeniem jego wolności. Przez cały film byłem raczej spokojny o głównego bohatera i nie przejmowałem się jego losem, co jest negatywną cechą w odbiorze tego filmu. Krótki, 8-minutowy teledysk „War Pigs” w wykonaniu Black Sabbath potrafi całkowicie przytłoczyć atmosferą beznadziei i strachu, której brak w dziele George’a Lucasa.

Na miejscu reżysera nie byłbym zadowolony ze swojego dzieła. „THX 1138” ma swój potencjał; reżyser doskonale stonował kolorystykę; kostiumy oraz sceny zostały świetnie dobrane. Również aktorzy grają na dobrym poziomie, czego jednak nie można powiedzieć o filmie jako o całości. Można go nazwać sztuką, można się zachwycać wygolonymi głowami każdego z bohaterów i świetnie wykorzystanym budżetem na zaprojektowanie scen, aczkolwiek wciąż będzie to film z niewykorzystanym potencjałem. W moim odczuciu film ten nie ma wcale mocy na stawianie we szranki z takimi produkcjami jak (podobny w całości) film „Wyspa” Michaela Baya czy też „Equilibrium” Kurta Wimmera. Jeśli się posiada czas – warto obejrzeć, ale jest to produkcja skierowana przede wszystkim do zainteresowanych klimatami sf oraz antyutopii.



Siewca Wiatru

Tomasz Fugiel

Recenzja książki, która wygrała w konkursie ogłoszonym przez bibliotekę ZSŁ

Od zawsze interesowały mnie książki fantasy łamiące szeroko pojęte standardy. Doceniam również narrację, która opisuje nam historię z perspektywy wielu stronnicstw i frakcji. „Siewca Wiatru” Mai Lidii Kossakowskiej jest świetnym przykładem powieści fantasy z realistycznym światem, gdzie czern i biel przeplatają się w odcieniach szarości, dobro ze złem, a świat biblijny z popkulturą. „Siewca Wiatru” wprowadza nas w rzeczywistość Królestwa Niebieskiego, opuszczonego przez Boga. Podczas gdy zastępy anielskie coraz bardziej się uczłowieczają, tajne porozumienie archaniołów pod przewodnictwem Gabriela robi co może, by odejście Pana pozostało w sekrecie. Nawet upadły Lucyfer, władca Głębi, dołącza do porozumienia, by zapobiec anarchii, która rozprzestrzeni się pośród obydwu frakcji,

jeśli sekret się wyda. Tymczasem, starożytne zło zagrażające istnieniu całego wszechświata powraca, a bez pomocy Boga, zastępy niebieskie i piekielne legiony są zdane na siebie.

Autorka zręcznie operuje narracją, przedstawiając nam zarówno niebian jak i głębian z najbardziej realistycznej, ludzkiej strony. Z przyjemnością czyta się o Jaldabalcie, Boskim architekcie, spaczonym przez ogrom powierzonej mu władzy, Lucyferze, romantyku i byłym rewolucjonście, który z trudem utrzymuje swe upadłe anioły w ryzach oraz Gabrielu, Regencie Królestwa, starającym się utrzymać ład i porządek, podczas gdy wrogowie polityczni dybią na jego tron.

Największą część powieści autorka poświęca Daimonowi Freyowi, który wskrzeszony przez Pana jako Abaddon, Anioł Zniszczenia, stoi na straży Królestwa przeciwko mocy Chaosu, siły będącej zaprzeczeniem kreacji i samego Boga. Nieprzebiegający w słowach anioł w skórzanej kurtce, uzbrojony w miecz bardzo szybko przypadnie do gustu miłośnikom Geralta z Rivii, stworzonego przez Andrzeja Sapkowskiego. Jest on aniołem czynu. W poważaniu ma on

szeroko pojętą etykietę czy hierarchię, gdy ważą się losy wszechświata. Daimon jest postacią burzliwą i uczuciową, jednak swymi uczuciami niechętnie dzieli się z innymi. Obie frakcje pojmują w sposób przytomny i sceptyczny. Pozostali bohaterowie przedstawieni są równie atrakcyjni. Demony nie są przeciwieństwem aniołów, lecz raczej tym samym społeczeństwem, pozbawionym szeroko pojętego kodeksu moralnego. Każdy Upadły przecież był kiedyś aniołem Królestwa, a większość z nich patrzy teraz na swój bunt jako na błąd młodości, rewolucję, która bardzo szybko zaczęła pożerać własne dzieci. Anioły, obdarzone wolną wolą, targane są emocjami i namiętnościami. Piją, palą i używają niecenzuralnych określeń. Bardzo często postaci takie jak Lucyfer zdobędą większą sympatię czytelnika niż knująca intrygi przywódczyni anielskich chórów żeńskich.

Dzięki barwnym opisom świata, magii, artefaktów, formacji i hierarchii anielskich oraz używanej przez nich broni (automatycznej) Kossakowska urzekła mnie głębokim i przekonującym światem fantasy. Znamca imion aniołów i demonów oraz wierzeń judaistycznych bardzo szybko odnajdzie się pośród wielu, często mniej znanych postaci, takich jak Metatron czy Asmodeusz, a amator broni palnej będzie z wypiekami na twarzy czytał opis magicznego głębiańskiego karabinu szybkostrzelnego Adramelech 300 TR czy morderczego NEX AP 666 magnum, ściśle zakazanego przez Konwencję Praw Skrzydlatych. W książce znajdzie się również coś dla miłośników scen batalistycznych. Cała powieść wypełniona jest akcją, strzelaniną, potyczkami, a jej zwieńczeniem jest wielka, przepięknie opisana bitwa. Liczne, zaskakujące i niespodziewane zwroty akcji bardzo często wprawiły mnie w syndrom „jeszcze jednej strony”. Częścią, która zapadła mi w pamięć najbardziej, była wspólna misja komandosów nieba i piekła, jednostek darzących się nienawiścią sięgającą tysiącleci. Rozdział ten ukazuje, jak trudno jest zwaśnionym frakcjom zjednoczyć się na zasadzie „wróg mojego wroga”, a także jak bardzo jest to potrzebne.

Twórczość Kossakowskiej, a zwłaszcza jej anielska seria, której zwieńczeniem jest „Siewca Wiatru”, wywarła na mnie niezwykle pozytywne wrażenie. Pomimo przeczytania „Siewcy” już dwa razy, znów planuję po niego sięgnąć. W mojej opinii jest to obowiązkowa pozycja dla każdego fana mrocznego fantasy twórców takich jak Andrzej Sapkowski czy Jacek Piekara. Gwarantuję, że po zapoznaniu się z tą wspaniałą lekturą nie będziecie w stanie opuścić świata aniołów i demonów przez długi, długi czas.



Hipoteza Sapira-Whorfa

Michał Grabowski

GAŚĆ INFORMACJI O PRAWIE RELATYWIZMU JĘZYKOWEGO.

Czy przytapałeś się kiedyś na myśleniu w innym języku? Mówieniu do siebie po angielsku, niemiecku, rosyjsku, japońsku czy w jakimkolwiek innym języku, który nie jest twoim ojczystym? Takie sytuacje mają miejsce, zwłaszcza gdy nauczysz się więcej niż tylko podstaw języka i spędzasz dużo czasu słuchając, pisząc bądź czytając w tym języku. W pewnym momencie można nawet poczuć płatanie się języka, gdy powraca się do mówienia w swoim ojczystej mowie. Wynika to z wielu czynników, które mniej lub więcej wpływają na nasz sposób myślenia. Czy o odrębności każdego narodu świadczy tylko kultura? Czy to, w jaki sposób myślimy (i w jakim języku) o rodzajach kolorów, gatunkach zwierząt lub o liczbach, wpływa na nasz sposób postrzegania świata? O tym mówi hipoteza przedstawiona przez dwóch językoznawców żyjących na przełomie XIX i XX wieku – Edwarda Sapira i Benjamin Lee Whorfa – którzy zajmowali się badaniem wpływu języka na psychikę i postrzeganie świata przez człowieka.

Jednym z najbardziej znanych testów potwierdzających słuszność hipotezy relatywizmu językowego jest pokazanie trzech kolorów kilku osobom posługującym się różnymi językami. Pytanie postawione w tym teście brzmi – które dwa kolory są bardziej podobne? Odpowiedź nie jest tak jednoznaczna dla każdej osoby, która posługuje się innym językiem. Jeśli pokaże się kolory: niebieski, zielony, fioletowy na przykład Japończykom, to dla nich (w każdym przypadku) może się okazać, że najbardziej podobnymi kolorami są niebieski i zielony. Dlaczego więc nie niebieski i fioletowy? W języku japońskim występuje bowiem słowo aoi, które oznacza zarówno kolor niebieski jak i zielony. Zastanówmy się nad tym głębiej – czytelniku! Popatrz przed siebie. Jakie kolory widzisz? Czy jest to kolor nieba – kolor niebieski? Albo kolor szuflady, który nazwiesz brązowym, a nie na przykład brunatnym? Automatycznie myślisz o tym w swoim, ojczystym języku, a nie w żadnym innym, chociaż – jeśli się zastanowić – możesz przekonwertować swoje myślenie na inny język, który znasz, aczkolwiek nie wpłynie to na to, że zawsze myślisz w języku, którego zaczęto cię uczyć od małego. Użytkownicy języka angielskiego z kolei mogą częściej używać nazwy „purpurowy” (purple) niż „fioletowy” (vio-

let) w porównaniu do osób korzystających z języka polskiego – tak samo jak są w stanie korzystać z wielu słów, wyrażeń, fraz czy idiomów, które w naszym języku (polskim) nie mają odniesienia bądź mają nawet tłumaczenie, ale takiego słowa używa się w języku polskim bardzo rzadko – bądź po prostu się o tym nie myśli. Kolor niebieski może im się kojarzyć z czymś smutnym. Idąc tym tokiem myślenia – osoby korzystające z jednego języka będą zauważać inne rzeczy niż zauważają osoby korzystające z drugiego języka. Edward Sapir powiedział: „Żadne dwa języki nie są nigdy dostatecznie podobne, by można je było traktować jako reprezentujące tę samą rzeczywistość społeczną. Światy, w których żyją różne społeczeństwa, są odrębnymi światami, nie zaś tym samym światem, tylko opatrzonym odmiennymi etykietkami”.

Znacznie trudniejsze do udowodnienia jest stwierdzenie, czy czasy, liczebniki bądź przypadki wpływają na sposób myślenia – a według prawa relatywizmu językowego taki wpływ również istnieje i jest dość znaczny. W języku pirahã nie ma w ogóle liczebników (są zaś takie określenia jak „mało” i „dużo”), liczby mnogiej, zdań złożonych, kwantyfikatorów („nikt”, „wszyscy”, „każdy”), powitań, pożegnań, ale za to istnieje niezwykle rozbudowana odmiana czasownika przez 16 kategorii, a także obszerne słownictwo odnoszące się do flory i fauny. W języku węgierskim jest 29 przy-

padków odmiany rzeczownika, a w niektórych dialektach języka arabskiego w ogóle nie posiadamy przypadków. Nie da się udowodnić jednym, prostym testem, czy to, w jaki sposób użytkownicy języka budują zdania albo korzystają z rzeczowników, wpływa na ich sposób dostrzegania rzeczywistości, ale na pewno coś takiego istnieje i żyje własnym życiem. Benjamin Lee Whorf poświęcił część swojego życia na badanie języków Indian – Majów i Hopi. W swoim dziele pt. „Model uniwersum Indian” opisał też o wpływie czasowników na pojmowaniu czasu i przestrzeni przez Indian Hopi, posługujących się językiem hopi – określanym jako „język pozbawiony czasu”. Czym mogą nas jeszcze zaskoczyć języki?

Niektórzy lingwiści twierdzą, że pewnych rzeczy nie da się przetłumaczyć z jednego języka na drugi, tak aby zgodność przekładu była w stu procentach taka jak w oryginalnym. W różnych językach rozumie się słowa inaczej. Niektóre słowa mają w końcu dwojakie znaczenie i już sama ta dwojakość wpływa na to, że osoba nie posługująca się językiem, w którym został napisany oryginał przełożony na inny język, nie zrozumie znaczenia w taki sposób, jak zrozumiałby użytkownik języka oryginału dzieła. Mam tu na myśli konkretnie dzieło Fiodora Dostojewskiego – „Zbrodnię i karę”, której sam tytuł wprowadza wątpliwości w tłumaczeniu go na inne języki. Nawet w języku polskim jest on nieadekwatny do tego, co chciał przekazać Dostojewski w języku rosyjskim. Ze względu na nieco inne rozumienie przez Rosjan słów, z których składa się tytuł tego utworu literackiego, to jest „zbrodni” i „kary”, tłumacz nie odda bezpośrednio w jednym tytule znaczenia, które zostało zapisane w tych dwóch słowach



w języku rosyjskim. Słowo „zbrodnia” w języku polskim ma charakter dobitnie negatywny. Słyszając to słowo, czujemy podświadomie, że jest to coś skrajnie obrzydliwego, w naszym odczuciu niedopuszczalnego, zaś zbrodniarz to ktoś, kto jest bardzo podłym człowiekiem ze względu na zbrodnię, której się dopuścił. Cóż... Dostojewski nie do końca miał to na myśli. W języku rosyjskim słowo *преступление* to nic innego jak przestępstwo dokonane przez jednostkę, która ustaliła swoje własne zasady – niezgodne z zasadami społeczeństwa. Tymczasem główny bohater, Rodion Raskolnikow, był człowiekiem, który chciał ustalić własne zasady i sprawdzić swoją teorię, która zakładała, że jedno morderstwo przyniesie społeczeństwu wiele dobra. Podobnie jest ze słowem *наказание*, które zostało na polski przetłumaczone jako „kara”. W języku rosyjskim należy rozumieć je również jako przestroga bądź nauczka, co również wskazuje, że tłumaczenia nigdy nie będą właściwe w stosunku do tego, jak rozumiemy słowa w swoim języku. Wiadome jest, że w wielu utworach przełożonych na różne języki występują takie anegdoty, które często trudno dostrzec, jeśli się nie zna tego utworu w oryginalnym języku. Znamcy Pisma Świętego twierdzą, że w przekładach nie rozumie się tego samego, co podczas czytania oryginalnej wersji tej książki – co również determinuje fakt, iż została ona napisana przed wiekami.

Silniejsza postać hipotezy Sapira-Whorfa, czyli tak zwany determinizm językowy, twierdzi, że język całkowicie wpływa na nasze postrzeganie świata, na sposób myślenia, na tempo porozumiewania się, na zachowania i na postrzeganie swojej osoby w świecie. Ta teza jednak nie jest w żaden sposób udowodniona – język wpływa na sposób postrzegania innych osób, na poglądy społeczne czy religiję, lecz nie oznacza to, że język jest jedynym determinantem naszego myślenia.

Z uświadomieniem sobie natury hipotezy Sapira-Whorfa dobrze radzi sobie film Denisa Villeneuve’a o polskim tytule „Nowy początek” (ang. „Arrival”). Jest to film science-fiction, który ukazuje pierwszy kontakt ludzi z obcymi istotami, które przyleciały na Ziemię w niewiadomym celu. Wprawdzie nigdy jeszcze nie mieliśmy kontaktu z obcą cywilizacją i wyobrażenie języka obcych jest ograniczone do wyobraźni scenarzysty, film ten jednak uświadamia nam, jak różnorodna i bezmierna jest potęga języków. Jeśli kiedykolwiek spotkamy się z obcą cywilizacją i dostaniemy szansę na porozmawianie z nimi – jak będzie wyglądać taka rozmowa i czy będziemy się w stanie do końca z nimi porozumieć?

Planeta śmieci

Jan Kuśmierczyk

Patrzysz przed siebie i widzisz zgłiszczca i stosy odpadów. Panorama w inne strony wygląda tak samo. Czas zmienić coś w swoim życiu i przenieść się do miasta znajdującego się wysoko w niebie. Niestety nie zawsze wszystko idzie po naszej myśli.

Gry typu *Point and click to specyficzny gatunek. Wiele czynników wpływa na to, by gracz został zainteresowany i dał się wciągnąć w rozgrywkę.* Jednym z najlepszych przedstawicieli tego gatunku jest seria gier „Deponia”. Produkcja studia Daedalic Entertainment została ujrzała światło dzienne 7 sierpnia 2012 roku. Autor chciał wydać ją pod jednym tytułem, lecz wtedy okazałaby się zbyt długa. Ostatecznie powstała trylogia weszła na rynek osobno, a wieńcząca serię część czwarta ukazała się 1 marca 2016 roku. Swoje istnienie, ta ostatnia, zawdzięcza po części fanom całej serii, którzy zgodnie nie chcieli przyjąć do wiadomości zakończenia części trzeciej.

Po przejściu całej gry można zapomnieć o uczuciu niedosytu. Akcja gry rozgrywa się na planecie o nazwie Deponia wyglądającej jak jedno wielkie wysypisko śmieci. Nasz główny bohater to Rufus, niezdarny marzyciel, który pragnie opuścić śmierdzącą powierzchnię planety i udać się do przepętnionego przepychem Elysium, miasta, które znajduje się wysoko w powietrzu. Podczas

jednej z jego prób udaje mu się dostać na statek jednej z ras, Organonów, którzy razem z Elizjańskimi dyplomatami udali się na inspekcję planety. Wskutek ciągu wydarzeń Rufus wypada ze statku razem z piękną Elizjanką z powrotem na znienawidzone przez niego wysypisko śmieci. Od tego momentu fabuła coraz bardziej się rozkręca. Gracz będzie świadkiem przygody Rufusa w drodze do spełnienia jego marzeń, natrafiając po drodze na różne zwroty akcji oraz utrudnienia powiązane z niezdarnością głównego bohatera. Świat w grze jest według mnie narysowany piękną kreską. Urozmaicone scenerie potrafią w miły sposób natchnąć gracza. Stosy zabawnych postaci i ukrytych easter eggów to kolejna atrakcja, jak i również wszechobecne minigry. Nie można zapomnieć również o charakterze gry. „Deponia” bogata jest w humor nadający jej atmosferę komedii. Jest to jedna z najdłuższych przedstawicieli gatunku. Jedną część to czas w granicach paru godzin. Mogę bez żadnego skrupowania polecić ją fanom dobrej przygodówki i zapewnić, że ciężko będzie się oderwać.



Rogue One: A Star Wars Story

Michał Ciborowski

Pierwszy samodzielny film ze świata Star Wars. Obowiązkowy seans, a może wielki niewypał? Recenzja okiem fanatyka marki.

Film „Łotr 1” miał wszelkie prawo się nie udać. Z jednej strony jego celem jest utrzymanie fanów „Gwiezdných wojen” w stanie wysokiej adrenaliny w długim okresie pomiędzy kolejnymi epizodami. Jednak z drugiej ma być czymś zupełnie innym, odchodzącym od baśniowego klimatu głównej serii.

I cóż, udało im się. Jest to jazda dość nierówna, momentami bardzo wyboista. Lecz niewątpliwie spełnia swoje założenia. „Rogue one” jest przez to dość ciekawym w ocenie filmem. Fani odnajdą tu znajomą stylistykę oraz bohaterów, ale i zupełnie inny ton opowieści. Reżyser i scenarzyści nie ukrywali inspiracji kinem wojennym, bo właśnie w ten gatunek celuje pierwsze „Star Wars Story”. Próżno tu więc szukać rycerzy Jedi, bohatersko broniących uciskane ludy galaktyki. Głównymi bohaterami są rebelianci, ścierający się z Imperium w brudzie i błocie. I nie są to chwalebni wojownicy wolności – to pierwsze „Gwiezdne Wojny” posiadające niejednoznacznie moralnych bohaterów. Nawet agenci Sojuszu muszą czasem pobrudzić sobie ręce.

Poziom humor spadł więc drastycznie w porównaniu z „Przebudzeniem Mocy”. Wprawdzie pada tu kilka dobrych żartów, ale przez większość czasu atmosfera jest dużo bardziej dramatyczna niż zwykle. Może to przestraszyć niektórych fanów, ale nie jest to wada. Dzięki temu film rzeczywiście ma własny charakter, wyróżnia się na tle pozostałych.

Ale spokojnie, widzowie, którzy zjedli zęby na Starej Trylogii i tak znajdą tu sporo dla siebie. „Łotr” regularnie puszcza oczko do fanów. Czy to parafrazą znanej linijki tekstu, pojawieniem się w starej lokacji, a nawet obecnością aktora z jednej z poprzednich części. Swoją drogą, niektóre z tych gościnnych występów okazały się tyleż zaskakujące, co dość ważne dla fabuły. Obudziły one kontrowersje wśród niektórych widzów. Moim zdaniem nie zawiodły, choć nie były jeszcze idealne pod kątem technicznym. Wybaczcze, nie chcę psuć niespodzianek, tłumacząc o co chodzi.

Natomiast pod kątem fabularnym obecność tych postaci jest jak najbardziej uzasadniona. Co więcej, dzięki niej „Łotr 1” stał się idealnym prequelem dla „Nowej nadziei”. Po powrocie z kina od razu chce się wrzucić płytę z oryginalnym początkiem Sagi. W do-

datku nowy film zdołał usprawiedliwić kilka nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności starego. Do tego zdołał uniknąć błędów logicznych. Czterdzieści lat po oryginale dostajemy piękne rozwinięcie.

Choć jak wspominałem, nie jest idealnie. Zaczniemy od tego, że drużyna nowych bohaterów jest całkiem ciekawa, ale została tak sobie przedstawiona. Każdy z aktorów robi, co może, ale ma zbyt mało czasu, byśmy zdążyli polubić jego postać. Poza tym ciężko mi uwierzyć w to, że tak szybko cały skład się zintegrował. Najbardziej zabrakło mi dialogów między poszczególnymi rebeliantami. Nietrudno uwierzyć, że najciekawszą postacią jest robot K2-SO grany przez Alana Tudyka. Jest to naprawdę znakomity aktor komediowy, nic dziwnego, że sprawdza się jako główny nośnik humoru (głównie czarnego) w tym filmie. Natomiast najbardziej charakterną ludzką postacią jest rebeliancki kapitan, w którego rolę wcielił się Diego Luna. On z kolei przechodzi najbardziej interesującą przemianę, patrząc na to, jakim bohaterem jest na początku, a jakim na końcu. Wydaje mi się też, że jest go dokładnie tyle, ile powinno być.

Pozostałe postacie zostały znacznie gorzej poprowadzone, z różnych powodów. Na przykład o głównej, najbardziej reprezentatywnej bohaterce tej opowieści wiemy trochę za mało (a widzimy dużo mniej, niż nam się opowiada). Przez to jej przemiana w trakcie filmu wypada bardzo gwałtownie. To trochę psuje dynamikę filmu, mimo że Felicity Jones w tej roli potrafi wzbudzić sympatię, zwłaszcza pod koniec. Jest jeszcze azjatycki duet, ale on wydaje się już na siłę doczepiony do reszty. Nawet Donnie Yen, który po jednej scenie akcji widocznej w zwiastunie później już się tak nie popisuje.

Innymi słowy „Łotr 1” wpada w typową

pułapkę filmów drużynowych – część ekipy jest słabo napisana lub zagospodarowana. Na szczęście główny przeciwnik wypada całkiem nieprzeciętnie. Czarny charakter grany przez Bena Mendelsohna pozwala nam zobaczyć, jak wyglądają walki o stanowiska pomiędzy imperialnymi oficerami, co jest całkiem ciekawą perspektywą. I choć Mendelsohn nie jest tak charyzmatyczny czy wyrazisty jak niektóre poprzednie szwarccharaktery, to jako ambitny służbista sprawdza się bardzo dobrze.

Oczywiście łatwo zostać przyćmionym, gdy ma się w filmie Dartha Vadera. Zwiastuny nie kłamią, a rola mrocznego lorda, choć niedługa, pozostaje w pamięci na długo. Vader jest fantastyczny. Wygląda odpowiednio plastikowo (czyli tak jak w „Nowej nadziei”, pasuje więc idealnie w tym miejscu i czasie), dialogi budzą odpowiedni respekt. I oczywiście James Earl Jones nadal ma ten idealny głos. A zobaczenie go w akcji to prawdziwa satysfakcja dla oczu. Ciężko potem zasnąć z wrażenia. W ten wspomniany już poważny ton filmu wpasowuje się znakomicie.

Vader błyszczy w ostatnim akcie filmu, podobnie jak reszta obsady, która w końcu ma swoją konkretną rolę w fabule. I to jest główny problem „Łotra”. Pierwsze dwie trzecie filmu są dosyć nierówne. Bardzo chaotycznie przeskakują między miejscami akcji, czuć, że nie wykorzystują w pełni potencjału przedstawianych postaci. Nie znaczy to, że nie potrafią wzbudzić emocji. Po prostu nie są zbyt umiejętnie złożone, co jest bardzo widoczne w porównaniu z finalnym rozdziałem tej opowieści. Film wchodzi na odpowiedni bieg dopiero, gdy rebelianci zmierzają już do ostatniej bitwy. Jest ona wprost fantastyczna – cudownie zaaranżowana, napisana z polotem i bardzo dużą pomysłowością. Już nawet nie mówię, jak cudownie wygląda. Pokazywanie akcji z kamer przyczepionych do skrzydeł X-Wingów to jeden z najlepszych filmowych zabiegów w dziejach. Trzeci akt jest fenomenalny, a zmierza do odważnego, wręcz wzruszającego zakończenia. I dla trzeciego aktu warto pójść na ten film. I przyjąć go ze wszystkimi jego wadami.

